

Jerzy Pilch *Żywego ducha* czyli Opowieść jedyne go żywego ducha

"Tylko optymiści łudzili się, że to, co realne, musi być racjonalne; ale ja nigdy nie byłem optymistą." (Guido Morselli, "Wydarzenie")

Słyszałam kiedyś, że gdyby wszystkich ludzi, całe te nasze 7 i pół miliarda z hakiem, utopić w jeziorze Bodeńskim, to poziom wody w jeziorze podniósłby się zaledwie o pół metra. Objętościowo nie jesteśmy aż tak znowu znaczący. Bohater ostatniej książki Jerzego Pilcha pewnego ranka budzi się w świecie zupełnie pozbawionym innych ludzi. Ostał się tylko on, sam jeden na całej kuli ziemskiej.

Najpierw oczywiście głupieje, każdy by zgłupiał. Potem robi to, co też zrobiłby każdy na jego miejscu, wydzwania do wszystkich możliwych znajomych rozsianych po świecie. Nikt nie odbiera telefonu. Radio, telewizja, internet milczą. Na ulicach porzucone samochody, pełne towarów sklepy... puste, pełne kasy i kosztowności banki stoją otworem, żywego ducha! Ki diabeł? Gdzie są wszyscy? Potopili się???

Jedynym żywym duchem wydaje się być on sam, postarzony o 30 lat niby to Jerzy Pilch, ale niezupełnie Jerzy Pilch, bo Jerzy Andrzej Kubica, też pisarz, syn ewangelickiego pastora (Pilch, jak pamiętamy, jeśli go czytamy, miał swojego Wielkiego Mistrza w osobie luterańskiego biskupa Andrzeja Wantuły, jego ojcem był też luter, ale nie duchowny, Władysław Pilch). O ile obu Jerzych dzielą rodzice i wiek, łączy ich afirmacja seksownych lasek, nieokiełznana skłonność do alkoholu i - wreszcie, cóż począć - choroba Parkinsona.

Autofikcyjne wydanie Jerzego Pilcha z dziewięćdziesiątką na karku spisuje swoje przeżycia w świecie po końcu świata. Nie wiadomo po co, bo przecież nikt oprócz niego samego tego nie przeczyta.

Podkreślmy jeszcze raz, że chodzi o koniec świata ludzkiego, apokalipsę *homo sapiens*, bo wszystko inne, cały nie-ludzki świat, istnieje nadal i nadal się kręci. Mało tego, rośliny i zwierzęta zaczynają opanowywać opuszczone przez ludzi ulice i domy, dokładnie jak w animacji, "jak będzie wyglądał świat po tym, gdy wyginieemy": natura się tym zajmie, odbierze sobie, co jej zabrano, za 50 lat wszystko porosną lasy i zagarną zwierzęta, za 500 śladu nie będzie po ludziach z wyjątkiem sypiących się piramid.

Lecz na razie jesteśmy u samych początków rozpadu wytworów ludzkich rąk, póki co działają systemy sterowane automatycznie, jest prąd, jest woda, jest benzyna na stacjach benzynowych. Jedzenia jest w sklepach i magazynach sklepów w brud i trochę, tylko żywność o krótkich terminach spożycia zaczyna pleśnieć i gnić, reszty wystarczy na długo. Ale jak długo ma trwać to długo? Jakiś czas? Jaki? A jeśli całą wieczność? Czy tak ma wyglądać przeniesienie się z doczesności do wieczności? Każdy ze swoim światem sam jak palec i tak na wieki wieków? Każdemu jego zaświat na niekończące się nigdy miliardy miliardów lat? Ale po co? I jak to miałoby funkcjonować?

Spójrzmy na to od drugiej strony. Gdy ktoś umiera, to z punktu widzenia żywych jego świadomość, czy jak kto woli, duch, znika, *ulatuje*. Był i nie ma. Jak wyłączona lampa. Świeciła i, pstryk, nie świeci. Zostają tzw. doczesne szczątki, w których nie ma śladu życia. A przecież jeszcze przed chwilą, myśli, uczucia, zmysły, wspomnienia, cała historia, cały osobisty świat człowieka... Niepojęte to, więc ludzie próbują sobie na różne sposoby oswoić coś, co wymyka się rozumowi.

Tak wymyślono raj w nagrodę za pobożne życie, a dla grzeszników piekło, dla zwykłych zaś śmiertelników czyściec, żeby ich trochę wypucować, nim staną przed obliczem Pana. Mamy krainę wiecznych łowów, mamy Walhallę, łono Abrahama, stan bardo i wędrówkę dusz, pomysłów jest tyle, ile religii, nikt tylko nie życzy sobie, żeby nie było nic, choć niektórzy przyznają, że jest to wysoce prawdopodobne. Właśnie owo nic, powrót do stanu przed narodzinami, gdy dla nas *było nic*.

Jeśli jednak jest tak, że śmierć oznacza zniknięcie zmarłego dla żywych, a dla zmarłego dokładnie odwrotnie, w chwili śmierci zniknięcie wszystkich żywych? Trzeba się trochę rozejrzeć w tej nowej rzeczywistości. Jerzy Andrzej Kubica zachodzi w głowę, co też mogło się stać z ludźmi? Nagła anihilacja? Powszechne wniebowstąpienie? Zniknięcie za pomocą magicznego zaklęcia? I dlaczego ktoś/coś? zachował akurat jego? A może lada chwila spłynie z nieba Anioł Śmierci, demon o strasznym imieniu Samael, i upomni się także o niego? Ale czas płynie a jakoś nikt nie spływa? Zapomniano o nim czy jak?

"Ocalałem, aby w nieskończoność ustalać, dlaczego ocalałem? Ludzkość wyginęła, abym do znudzenia dochodził, jak to się stało?" - pyta sam siebie sędziwe *alter ego* Pilcha. I doszukuje się znaków w malarstwie Boscha i Bruegla, najbardziej transcendentalnych malarzy w całej historii sztuki. Szuka odpowiedzi w centuriach Nostradamusa, któremu nie poświęcał ani trochę uwagi w świecie przed zniknięciem ludzi (a szkoda, ja poświęcam, że się wtrączę). Przy okazji roztrząsa parę innych trapiących go *za poprzedniego życia/w poprzednim wydaniu* spraw - że umarł, to tylko mój czytelniczy pomysł, przecież nie ma pewności, może żyje w jakimś tajemniczym świecie alternatywnym? Do którego nikt poza nim nie ma dostępu?

Może tylko Bóg wysłuchał jego prośb o samotność absolutną i spełnił mu je na swój boski sposób? Na zasadzie "uważaj o co się modlisz, bo możesz to dostać"? I teraz Jerzy Pilch *alias* Jerzy Andrzej Kubica docieka tajemnicy tego nowego świata/zaświata coraz dotkliwiej uświadamiając sobie, że będzie jak w świecie pełnym ludzi, w którym jeszcze się taki nie urodził, kto znałby odpowiedzi na te kilka podstawowych egzystencjalnych pytań mimo tylu ponawianych prób. Ma też wystarczająco dużo czasu, by pod każdym kątem przyjrzeć się swojemu własnemu życiu i poroztrząsać sobie te kilka palących za życia wśród ludzi spraw oraz poubolewać nad definitywnym brakiem w życiu starca kobiet, co zaczęło się jeszcze tam, po tamtej stronie, a nie skończy tu, po tej, bolało już wtedy i będzie bolało bez końca...

<https://www.youtube.com/watch?v=8amtDJ9zoTc>

Jerzy Pilch w osobie swojego *alter ego* robi przegląd literatury (i filmów) z gatunku "ostatni człowiek na ziemi". Nie zbliża go to do zrozumienia swojej sytuacji, ale nas, czytelników, zbliża do lektur (i filmów) na temat. Od tej pierwszej, którą pisarz i *alter-pisarz* podaje jako genezę pomysłu na książkę "Żywego ducha". To "Wydarzenie" włoskiego pisarza Guida Morsellego z roku 1973 nigdy za życia autora niewydane, podobnie jak nie wydano żadnej

innej książki tego autora, gdy mógł się jeszcze tym cieszyć. Odkryto go *post mortem* (po śmierci z własnej ręki 30 lipca 1973 roku w wieku niespełna 61 lat). W Polsce wydano go w roku 1980 w tłumaczeniu Barbary Sieroszewskiej, a Pilch chodząc po księgarniach (wtedy pustych, że przypomnę), wybierał książki na chybił trafił (bo i tak nie dało się kupić tego, co się chciało) i tak trafił na Morsellego.

Po przeczytaniu "Żywego ducha" przeczytanie "Wydarzenia" do kompletu to oczywistość. Bohater książki z 1 na 2 czerwca, tuż przed 40. urodzinami, ciężko chory, postanawia pożegnać życie, nim ono pożegna jego. I wtedy spotyka go coś dziwnego, nie on znika, a ludzie, wszyscy co do jednego. Tu koło się zamyka. Morselli pisze:

"Ejże, mędracy zarozumiali, przypisujecie sobie zbyt wielkie znaczenie! Świat nigdy nie był tak żywy, jak jest dzisiaj, kiedy pewna rasa dwunogich przestała na nim grasować. Nigdy nie był taki czysty, lśniący, wesoły. /.../ O, ludzie, raduję się za siebie i za was, a raczej w waszym zastępstwie, zważywszy, że sami nie możecie już radować się oswobodzeniem. Nie dlatego, iżby przyszło ono zbyt późno. Wy sami chcieliście swojej niewoli, sami byliście jej twórcami. Mogła więc zniknąć jedynie wraz z waszym zniknięciem. /.../ Rynek Rynków zmieni się z czasem w łąkę. Z żółtymi kwiatkami jaskrów i niebieskimi cykorii".

A Pilch podchwytuje temat. Ku mojej czytelniczej satysfakcji. Podwójnej, bo Morsellego nie znałam.

* * *

Jerzy Pilch, "Żywego ducha", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018

Opis wydawcy:

Oto Jerzy Pilch jakiego nigdy dotąd nie czytaliśmy! Ostatni na statku szaleńców.

Zagłada cicha jak kot? Potop bez opadów? Terrorystyczny atak z nieba? Globalne wyludnienie? Apokalipsa rozgrywa się w języku. Świat kończy się, bo milknie. Dalekie głucho pożary. Nie ma do kogo gęby otworzyć. Przed aniołem śmierci, który przeszedł przez Warszawę, uchodzi jedynie pisarz - odludek. Można powiedzieć trafił żywy duch na swego. Po kolejnych próbach nawiązania kontaktu z kimkolwiek i gdziekolwiek nie może się dłużej łudzić. Został sam. I to sam w sensie ścisłym.

Co może robić ostatni człowiek na świecie? Wyruszyć przed siebie? Spać w najlepszych hotelach? Bezkarne wnosić książki z księgarni i markowe ubrania z najlepszych butików? To co zwykle: łudzić się kasą? Pielęgnować samotność, czyli życie? Gorączkowo upajać się własną wyjątkowością? Tylko właściwie po co? A przedtem było po co? Czy przedtem i potem to jest aż tak wielka różnica? Widziadła coś do niego mówią - nie wie co, bo nie wie, czy są z tego świata? A my? Jesteśmy jego urojeniami? - Jerzy Pilch

